Walcząc o pierwiastek nie zapomnijmy o zasadzie pomocniczości

Kończy się szczyt Rady Unii Europejskiej w Brukseli, który ma otworzyć drogę do konferencji międzyrządowej mającej opracować nowy traktat UE. Ogromna większość komentarzy w prasie i telewizji koncentrowała się na jednym z głównych, z polskiej perspektywy, zadań tego szczytu, czyli na poddaniu pod dyskusję formuły głosowania w Radzie UE mającej się znaleźć w traktacie rewidującym obecnie obowiązujący Traktat Nicejski.

Stanowisko Polski w tej sprawie, oparte na zasadzie sprawiedliwości, jest znane – i dobrze byłoby, gdyby zostało wzięte pod uwagę. System pierwiastkowy, inaczej zwany zasadą Penrose'a, daje każdemu obywatelowi kraju członkowskiego UE jednakowo mocny głos w Radzie UE.. Niezależnie od sukcesu tego pomysłu, który jest wątpliwy, jako że Polska i Czechy są osamotnione w obronie pierwiastka, warto powalczyć o coś jeszcze ważniejszego – czyli o wzmocnienie zasady pomocniczości, czasami brzydko zwanej sybsydialnością. Wspominał o tym już w ostatnich wywiadach dla prasy premier Kaczyński, jednakże jego wypowiedź przeszła bez echa. Warto więc pokazać argumenty za tym, że walka o dokładne sprecyzowanie w nowym traktacie zasady, iż państwo ma służyć i umacniać, raczej niż zastępować naturalną rodzinę, kościoły i lokalne organizacje społeczne na dłuższą metę może okazać się ważniejsze od forsowania systemu liczenia głosów w Radzie.

Wyobraźmy sobie, że Unia Europejska zwiększa swoje kompetencje w sprawach moralno-etycznych i głosowania ministrów w Radzie UE realnie wpływają na zawartość szkolnych podręczników naszych dzieci, kwestie regulacji stosunków państwo-kościół (szczególnie w sprawach dyskryminacji płci i orientacji seksualnej), politykę rodzinną, czy też definicje początku i końca życia ludzkiego. Załóżmy też, że kwestie te poddały się logice integracji europejskiej i są rozstrzygane zasadą kwalifikowanej większości głosów, a nie przez jednomyślność. Nie jest to bynajmniej sytuacja abstrakcyjna. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat, szczególnie od czasu Jednolitego Aktu Europejskiego z 1986 roku, zarówno kompetencje UE jak i zakres stosowania kwalifikowanej większości głosów zwiększały się. Nasuwa się oczywiste pytanie: jak wyglądałyby szanse Polski w głosowaniach nad tymi sprawami?

Pozostaw to pole puste, jeśli jesteś człowiekiem:

Odpowiedź może niepokoić. Niezależnie od niuansów metody liczenia głosów, każde głosowanie kwalifikowaną większością głosów Polska by przegrała. Polska, czy się

tego chce czy nie chce, tworzy w Europie pewną mniejszościową enklawę kulturową związaną z jej historyczną spuścizną. Większość badań socjologicznych, takich jak Eurobarometer czy World Values Surveys, potwierdza fakt, iż Polacy są dużo bardziej tradycyjni w sprawach moralno-etycznych od mieszkańców jakiegokolwiek kraju w Europie, czy to Wschodniej czy Zachodniej. Aby dać przykład, z wyjątkiem małej Słowacji i republik Bałtyckich (szczególnie Litwy, ale paradoksalnie również mocno zateizowanej Estonii), nie ma kraju w Europie, w którym kwestie orientacji seksualnej byłyby aż tak mocno obecne w polityce, jak w Polsce. Odnosi się to też do kwestii rodziny, akceptacji kohabitacji, aborcji i wielu innych zagadnień moralno-społecznych. Politologia uczy nas, że wybory, szczególnie jeżeli chodzi o wybieranie pojedynczej kwestii polityki społecznej czy pojedynczej partii w okręgu jednomandatowym, to nie tylko walka na liczbę głosów, ale także na atrakcyjność argumentów. Często wygrywa nie ten, komu się wydaje, że ma najwięcej głosów ale ten, kto przedstawi najbardziej kompromisową propozycję grając pod tak zwanego „środkowego wyborcę", a tym samym zabierając głosy swojemu przeciwnikowi. Jeżeli „środkowy wyborca" jest częścią ogólnie lewicowego elektoratu (a tak można nazwać większość elektoratu UE, gdzie za zwolennika prawicy bywa uznawany ktoś, kto jest za legalizacją aborcji), to w Radzie UE wygrywać prawie zawsze będą propozycje na lewo od ideologicznego centrum. Oczywiście, Polska mogłaby od czasu do czasu coś ugrać strategią „coś za coś", ale trudno sobie wyobrazić jako normalną i zdrową politycznie sytuację, w której Polska dokładałaby się do każdej koalicji potrzebującej jej głosów, za cenę obrony spraw moralno-etycznych. Polska znalazłaby się w podobnej sytuacji, co Niemiecka Bawaria w czasie przed pruskim Kulturkampfem czy jak kto woli Amerykańskie Południe przed wojną secesyjną.

Mając na uwadzę to, co właściwie definiuje Polską kulturę – czyli jej przywiązanie do wartości tradycyjnych – należy stwierdzić, że kwestia pomocniczości powinna być dla naszych reprezentatów w Brukseli niesłychanie ważna, wręcz priorytetowa. Zasada pomocniczości nie przez przypadek odnosi się w swej współczesnej wersji do nauki Niemieckiego biskupa von Kettelera. Von Ketteler sprecyzował jej znaczenie w czasie walki o lokalną kontrolę edukacji w Niemczech, jednoczących się pod nieubłaganym wpływem anty-katolickich Prus. Pierwotnie wypracowana jeszcze przez Akwinatę zasada, że państwo ma służyć i umacniać lokalne grupy społeczne takie jak rodzina, parafia, czy region, znalazła swoje miejsce w Traktacie z Maastricht a szczególnie w aneksowanej do Traktatu Amsterdamskiego Deklaracji Nr. 11, mającej na celu wyłączenie spod jurysdykcji UE relacji państwo-kościół. Miejmy nadzieję, że na przyszłej konferencji międzyrządowej pojawi się okazja aby tę deklarację wzmocnić przez wyraźne podkreślenie, że wszystkie kwestie

dotyczące spraw wychowaczych, rodziny, życia i śmierci, powinny być zostawione „strukturom pośredniczącym”, czyli przede wszystkim rodzinom i lokalnym społecznościom działającym w kulturach konstytucyjnych swoich własnych państw. Byłaby to mocniejsza deklaracja niż Deklaracja Nr. 11, która ma chronić czysto korporacyjne interesy kościołów, które i tak powoli kapitulują przed państwem w sprawach kontroli nad kwestiami etyczno-moralnymi jak pokazuje to przypadek wyparcia katolickich agencji adopcyjnych przez nowe prawa anty-dyskryminacyjne w Wielkiej Brytanii czy nawet w USA (w Massachusetts). Polska delegacja powinna się też bronić przed redukowaniem swojego stanowiska do mało znaczących protokołów, tak jak to miało miejsce z irlandzkim protokołem załączonym do Traktatu z Maastricht, powielonym z resztą przez Polskę i Maltę w Traktatach Akcesyjnych, mającym chronić prawa anty-aborcyjne tych państw przed ingerencją UE.

Niezdrowa byłaby sytuacja, w której duży kraj jakim jest Polska skazany byłby na niepowodzenie w głosowaniu, z racji swojej odrębności w sprawach najwyższej wagi. Na dłuższą metę spowodowałoby to o wiele większy i moralnie głębszy paraliż Unii Europejskiej niż dzisiejsze polskie deklaracje o wecie w sprawie pierwiastka. Dlatego też „umierając za pierwiastek” nie pogrzebmy mocnego podkreślenia zasady pomocniczości w sprawach zasadniczych. Moralna suwerenność naszego kraju, jak i długoterminowa stabilność Unii Europejskiej, może właśnie od tego zależeć.

Materiał pobrany ze strony Instytutu Sobieskiego, sobieski.org.pl, autor: Maciej Golubiewski.